

EDWARD BALAWEJDER

ur. 1942; Markowa



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, Kazimierz Dolny, PRL, po 1989
Słowa kluczowe	Lublin ; Kazimierz Dolny ; Gardzienice ; PRL ; edukacja ; Stowarzyszenie Teatralne Gardzienice ; stan wojenny (1981-1983) ; Kuncewiczówka ; teatr alternatywny i studencki ; Urząd Wojewódzki w Lublinie ; Fundacja Kuncewiczów ; praca zawodowa ; środowisko literackie ; spotkania literackie ; Muzeum Marii i Jerzego Kuncewiczów Kucówna, Zofia (1933-) ; Kuncewiczowa, Maria (1895-1989) ; Staniewski, Włodzimierz (1950-) ; Szczepański, Jan Józef

1. Edukacja

Urodziłem się 24 lutego 1942 roku. Dawno temu. Pochodzę z województwa rzeszowskiego, z miejscowości Markowa. To bardzo zasłużona i gospodarczo, i społecznie, i politycznie wieś leżąca obok Łańcuta. Tam skończyłem szkołę podstawową. Później liceum ogólnokształcące w Łańcucie i studia wyższe na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. [Uczęszczałem tam na] historię w latach 1960–1965. Bez przerw. W wieku dwudziestu jeden lat byłem magistrem historii i, wydawało się, człowiekiem z perspektywą. Też dobrze usytuowanym w Lublinie, patrząc na te czasy. Ponieważ przez cały okres studiów byłem dość aktywny, jeśli chodzi o działalność społeczną. Myślę, że w niektórych [momentach] nawet bardzo aktywny. Byłem [również] niezłym studentem. To też miało swój wymiar.

2. Narcyz Łubnicki –chodząca kultura i takt

Miałem życzliwość profesorów. [Specjalnością] pana profesora Ryszarda Szaflika (świętej pamięci już niestety) była historia średniowieczna, a później historia ruchu ludowego. Historii najnowszej [nauczał] profesor Zygmunt Mańkowski. [Na UMCS-ie wykładali też] profesorowie [Wiesław] Śladkowski, [Edward] Olszewski i Stanisław Tworek.

Wyjątkowo miłym człowiekiem, z którym miałem bardzo dobre relacje poprzez moją aktywność w ruchu społecznym i kulturalnym, był profesor Narcyz Łubnicki. Filozof. Uroczy człowiek. Nie znam drugiego takiego. Chodząca kultura, takt. Zawsze elegancko i bardzo starannie ubrany. Rzucił się w oczy jako elegancki pan. Miał

swoje określone, bardzo twarde zasady. Był też wyjątkowo wymagającym profesorem. Nie rozmawiało się z nim na żarty. Rzadko żartował. Rozmowy [z nim musiały] być bardzo otwarte, bardzo śmiałe, ale też bardzo konkretne. Prowadził wyjątkowo interesujące wykłady. Z jednej strony można pomyśleć, [że] filozofia [oraz] logika [to] dość łatwe sprawy. Ale [w rzeczywistości są] bardzo skomplikowane i trudne. Żeby [je] zrozumieć, trzeba w nie wejść, wgryźć się. Profesor [znakomicie] sobie z tym radził. Świetnie nam wkładał te mądrości do głowy. Niewątpliwie wszyscy go ceniliśmy. Chociaż w bezpośrednich kontaktach nie był łatwym człowiekiem.

W czasach, gdy profesor Łubnicki [pełnił funkcję] prorektora, był [również] moim profesorem, u którego zdawałem egzaminy zarówno z logiki, jak i z filozofii. [Jako] prorektor bardzo wspierał ruch studencki i ciekawe inicjatywy studenckie. Ten czas wspominam bardzo mile. Byłem wtedy działaczem Związku Młodzieży Wiejskiej. Już nawet chyba przewodniczyłem zarządowi uczelnianemu ZMW.

Profesor Łubnicki cenił mnie przede wszystkim za moją aktywność w ruchu przeciwalkoholowym, w działalności związanej z trzeźwością studentów. Był hobbistą, jeśli chodzi o trzeźwość. Profesor rzeczywiście bardzo mnie wspierał w tej działalności. Uczestniczył w spotkaniach. Potrafił nawet przyjść na bal studentów zorganizowany przez nasze koło przeciwalkoholowe. Zrobiony oczywiście bez wykorzystywania napojów alkoholowych. Z perspektywy lat to może dziwna i śmieszna sprawa, ale bardzo interesująca i ważna.

3. Miałem świadomość, że jestem już jakąś osobą w kręgu ludzi oświaty, kultury i ruchu ludowego

[Miałem] dobre relacje z uniwersyteckim środowiskiem naukowym, a także z ważnymi wtedy działaczami funkcyjnymi Związku Młodzieży Wiejskiej: Czesławem Rajcą, Stanisławem Weremczukiem, Stanisławem Niedźwiedziem [oraz] Janem Drażkiem. Bardzo wielu wybitnych i aktywnych działaczy, którzy mieli już jakąś pozycję w środowisku społecznym, kulturalnym i oświatowym. Dawało mi [to] śmiałość, że mój start w wieku dwudziestu jeden lat po zakończeniu studiów w Lublinie będzie łatwy i prosty. Na szczęście dla mnie tak się [rzeczywiście stało].

Profesor Stanisław Krzykała złożył mi propozycję przeniesienia się do Rzeszowa na filię Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, którą tworzone albo która już chyba działała. Nie skorzystałem z [tego]. Profesor Krzykała] pod koniec [moich] studiów pełnił funkcję dziekana albo prorektora –już w tym momencie nie pamiętam. Ja miałem jednak świadomość, że już jestem jakąś osobą w kręgu [ludzi], którzy mnie interesowali, i przede wszystkim w kręgu ludzi oświaty, kultury [oraz] ruchu społecznego. Wolałem zostać w Lublinie. Mogłem [tam] bez większego kłopotu podjąć pracę. Zostałem i oczywiście nie żałuję tego wyboru.

4. Praca magisterska u profesora Henryka Zinsa

Przyszedłem na studia z niezłą znajomością łaciny i języka angielskiego. Na

świadectwie maturalnym miałem nawet stopnie z łaciny (po egzaminie państwowym, który zdawałem) i z angielskiego (ponieważ był językiem [nauczonym] w szkole). Profesorowie wyszukiwali dla siebie studentów do seminariów magisterskich. Wyciągnął mnie spośród [nich] pan profesor Henryk Zins. Prowadził wtedy katedrę historii powszechnej średniowiecznej, ale specjalizował się w historii Anglii. Profesor Zins –podobnie jak profesor [Narcy] Łubnicki –był człowiekiem wyjątkowej klasy. Przystojny, uroczy, wysoki. Niebywały džentelmen.

Szczerze powiem, [że] niekoniecznie miałem ochotę na tę specjalizację. Bardziej mnie interesowała historia nowożytna, najnowsza. Ale się dałem namówić. [Profesor Zins] ściągnął nas kilkoro z roku. Napisałem u niego pracę magisterską „Gospodarcze stosunki polsko-angielskie za czasów Elżbiety I” Moja znajomość łaciny przydała mi się do penetracji rejestrów sundzkich, a znajomość angielskiego do szukania w literaturze informacji o stosunkach handlowych między Polską a Anglią w drugiej połowie XVI wieku.

5. Profesor Seidler zainspirował nas do utworzenia Kazimierskiego Klubu Rotary

Z profesorem [Grzegorzem Leopoldem] Seidlerem nie miałem zajęć. Ale był osobą powszechnie znaną, poważaną. [W trakcie] dwudziestej rocznicy powstania Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej [pełnił funkcję] rektora. Kontaktowałem się z profesorem Seidlerem i miałem [z nim] dobre relacje. Myślę, że to wynikało z [jego] osobowości. Wspierał wszystkich aktywnych studentów. Bardzo serdecznie [pomagał] zarządom uczelnianym ZMS (Związek Młodzieży Socjalistycznej), ZMP (Związek Młodzieży Polskiej) i ZSP (Zrzeszenie Studentów Polskich). To [były] organizacje, które w czasie moich studiów działały na uniwersytecie.

Z profesorem Seidlerem miałem bardzo ciepłe i bardzo serdeczne kontakty do końca jego życia. [Było to wynikiem] mojej aktywności na zupełnie innej płaszczyźnie –w czasach, kiedy częściej [działałem] w Kazimierzu Dolnym, gdy prowadziłem Fundację Marii i Jerzego Kuncewiczów. Profesor Seidler przyjeżdżał jako gość na spotkania, które tam organizowałem, sam [albo] z żoną.

[Pojawiał się tam] również na początku lat 90. (może to był 1992, 1993 [rok]), inspirując mnie i innych działaczy –ludzi, którzy tam szerzej funkcjonowali –do utworzenia Kazimierskiego Klubu Rotary. Nie ukrywam, że [to] dzięki profesorowi i innym osobom włączyłem się do organizacji [tego przedsięwzięcia]. Klub Rotary działał w Kazimierzu Dolnym z powodzeniem przez wiele lat. To [były] bardzo miłe kontakty. Wtedy profesor inspirował nas do aktywności i do realizowania tych wszystkich celów światowego ruchu rotariańskiego. Jak już był wolnym człowiekiem, bez obciążeń etatowych [czy] społecznych (prowadziłem [wtedy] Fundację Kuncewiczów), [stał się] hobbistą rotarianinem.

Profesor [Seidler] potrafił zakpić. Potrafił powiedzieć coś, co nie zawsze przyjmowaliśmy ze zrozumieniem. Chociaż dobrze [pojmovaliśmy] jego intencje –[to] nie było trudne. Chodził starannie ubrany, ale [nie bardzo] przywiązywał do [tego]

wagę. Niekoniecznie w krawacie. [Jakkolwiek] ciągle go [sobie przypominam] w garniturze i z laseczką.

6. Stowarzyszenie Teatralne „Gardzienice”

Być może to, co powiem, nie będzie koniecznie korespondowało z tym, co jest rzeczywiście w dokumentach. Warto to skonfrontować. Włączając się w ten ruch, niekoniecznie (teraz tak o tym myślę) uświadamiałem sobie konieczność zapamiętywania wszystkiego, co robiłem. Ponieważ moich działań związanych z popieraniem pewnych ruchów kulturalnych było wiele. Wynikało to także z mojego interesu, mówiąc prosto, jako człowieka usadzonego etatowo w jakimś środowisku.

Zagajam to w ten sposób, ponieważ kiedy zetknąłem się z Włodkiem Staniewskim i z jego koncepcją, pracowałem w Zarządzie Wojewódzkim Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Prowadząc to towarzystwo, potrzebowałem życzliwych ludzi ze środowisk decydenckich. Trzeba było zdobyć środki (poza pieniędzmi, które szły z ministerstwa oświaty) na wszystkie wykłady, zajęcia i szkolenia, które prowadziliśmy. W związku z tym współpracowałem z bardzo wieloma różnymi ważnymi ludźmi. Wśród nich byli też tacy, którzy może nie mogli podejmować [istotnych] decyzji, ale którzy się cieszyli niebywałym autorytetem (większość z tych osób już nie żyje). Wśród nich [się znajdowali]: Irena Szychowa (wyjątkowy człowiek; myślę, że [komuś], kto interesuje się kulturą i oświatą w Lublinie, nie trzeba mówić, kim była), Barbara Koterwas, Alina Stanowska, Danusia Mirosław (nawiasem mówiąc, przejęła po mnie funkcję prezesa stowarzyszenia „Gardzienice”).

Wymieniam najbliższe mi wtedy osoby, które wprowadziły mnie w krąg Włodka Staniewskiego. Byli to [ludzie], którzy niewątpliwie odegrali kluczową rolę w tym wszystkim, co teraz robię. Staniewski i „Gardzienice” Myślę, że Włodek Staniewski ma podobne zdanie. Jeśli myśli inaczej, to bardzo go proszę, żeby [je] zmienił. Dzięki tym osobom to towarzystwo, ten ruch [jest] tym, czym jest. Wtedy tym ludziom, tym paniom potrzebne było miejsce. Mogliśmy się spotykać w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej. Nikt nas nie krępował. Włodek przyjeżdżał ze swoimi współpracownikami. Odbywaliśmy tam posiedzenia.

Wspólnie staraliśmy się o usankcjonowanie Stowarzyszenia Teatralnego „Gardzienice” Włodek Staniewski był mocno w to wszystko zaangażowany. Z determinacją walczył, żeby to, z czym przyjechał do Lublina, realizować z ludźmi, którzy z nim współpracowali. I udało się. Jeśli dobrze pamiętam, to był 1978 albo 1979 rok. Ja zostałem prezesem, Włodek wiceprezesem. Nie pamiętam, kto [pełnił funkcję] sekretarza. Nie wykluczam, że mogła to być Basia Koterwas. Krótko mówiąc, chodziło o to, żeby [reprezentowała nas] osoba –przepraszam za to, co powiem –mająca autorytet w środowisku, [ale też] osoba, co do której nie miało [się] większego zastrzeżenia także politycznego. Ja generalnie byłem człowiekiem apolitycznym, ale działałem [też] w ruchu ludowym. A jaką rolę w [nim] odgrywałem, to już zostawmy na boku. Mogłem [więc] reprezentować to stowarzyszenie na

zewnątrz.

Z przykrością powiem, że bardzo różnie mówiono [o „Gardzienicach”. Myślę, że nie rozumiano idei tego ruchu. [Chodzi mi] tu o decydentów –ludzi szerzej przyzwyczajonych do normalnego teatru, [którzy] od czasu do czasu poszli do teatru muzycznego, dramatycznego. A tu nagle [pojawił się] jakiś teatr. Nie wiadomo, o co im chodzi i jakim celom służy... Nie chcę mówić o tym w szczegółach. W każdym razie niekoniecznie akceptowano ruch i myśl działalności proponowanej przez Włodka Staniewskiego.

Najlepszym tego przykładem jest fakt, że przez wiele lat trzeba było starać się o legalizację [stowarzyszenia], o miejsce i o środki na tę działalność. Wtedy nie miałem na tyle dużego wpływu, żebym mógł mobilizować władze Urzędu Wojewódzkiego [do finansowania stowarzyszenia]. Włodek określił swoją perspektywę w Uniwersytecie Ludowym w Gardzienicach. I trzeba było walczyć z zarządem głównym ZMW o to, żeby usankcjonować tam ich obecność. Wielokrotnie jeździłem z Włodkiem do Gardzienic. Przedstawiciele ZMW też [tam] przyjeżdżali. [Chodziło o to], żeby dać pomieszczenia, przynajmniej w jakiejś części, by to stowarzyszenie mogło tam działać.

W merytorycznej działalności [„Gardzienic” uczestniczyłem mniej. Wspierałem ich raczej organizacyjnie. Od samego początku stowarzyszenie robiło to, co robi teraz. Dokumentowało kulturę ludową w najbardziej odległych częściach Polski. Zbierało materiały do tworzonych później przez Włodka Staniewskiego spektakli. Od samego początku taka była działalność. Dla nas –osób, które [to] wspierały –wydawało się, że to jest wyjątkowo ważny kierunek dokumentowania, że tak powiem, przeszłości. Włodek sięgał do korzeni.

7. Etatowy sekretarz Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej

Byłem, jak to się mówiło, etatowym sekretarzem Zarządu Wojewódzkiego TWP na ulicy Waryńskiego 4, w pięknym pałacyku –tak mówiliśmy [na to miejsce]. Teraz chyba tam jest bank spółdzielczy. Było to miejsce, do którego garnęli się ludzie różnych profesji i zawodów. Współpracowałem z ponad dwoma tysiącami ludzi posiadającymi odpowiednią wiedzę i umiejętności przekazywania tej wiedzy. Z ludźmi oczywiście wykształconymi. Tacy mogli się cieszyć zainteresowaniem słuchaczy i tacy mogli przychodzić na spotkania organizowane [przez] Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Tak że [do tego] miejsca [przychodziły osoby], które chciały i zarobić, i pofunkcjonować społecznie.

8. W 1982 roku zostałem dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki w Urzędzie Wojewódzkim

Ku mojemu (i pewnie bardzo wielu ludzi z kręgu władzy –tak mogę nawet myśleć) wielkiemu zaskoczeniu w 1982 roku zostałem dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki w Urzędzie Wojewódzkim. Przestałem być sekretarzem Zarządu Wojewódzkiego TWP.

[Stało się to] w straszliwych dla mnie czasach. Jak przyszedłem 1 lutego 1982 roku do Urzędu Wojewódzkiego już jako dyrektor Wydziału Kultury, to byłem przerażony. Stan wojenny. I nagle człowiek spoza kręgu władzy [zostaje] wyniesiony [na stanowisko dyrektora] przez środowiska kultury i oświaty. Tylko tym ludziom to zawdzięczam. Nikt nie przypuszczał, że dyrektorem Wydziału Kultury zostanie człowiek niepartyjny, tym bardziej ludowiec. W czasach komunistycznych ludowców nie awansowało się na wyższe stanowiska, co najwyżej [pełnili funkcje] zastępców. Zostałem dyrektorem Wydziału Kultury, ciągle będąc prezesem Stowarzyszenia Teatralnego „Gardzienice” I tu osobiście mi się wydawało (ale myślę, że Włodkowi, pani Irenie Szychowej i tym wszystkim, którzy działali w stowarzyszeniu też), że [się pojawiła] okazja wsparcia go. Powtarzam słowa Ireny Szychowej: jeśli byłem przekonany w słuszność działania Włodka Staniewskiego, to nie mogłem go zostawić teraz, gdy losy i przyszłość [tej instytucji] mogły [leżeć] w moich rękach. [Chyba] w 1983 roku zrezygnowałem z funkcji prezesa. [Na moje miejsce] wybraliśmy panią Danutę Mirosław. Wydawało mi się –i tak wszyscy myśleli w zarządzie –że nie mogłem wspierać [organizacji], której chciałem bardziej pomagać [oraz] którą chciałem ewentualnie finansować.

Nie umiem w tym momencie powiedzieć, który to był rok (czy 1983, czy 1984), ale szukając możliwości pomocy finansowej [dla] stowarzyszenia, przekazałem do Wojewódzkiego Domu Kultury pięć (jeśli dobrze pamiętam) etatów na potrzeby Stowarzyszenia Teatralnego „Gardzienice” Właściwie wtedy zakończyła się moja większa osobista rola i moja aktywność [w tej organizacji]. Chociaż nadal [tam] zostałem. Nie wiem, gdzie wtedy była siedziba [”ardzienic”. Nie potrafię powiedzieć. Może w Wojewódzkim Domu Kultury. Nie przypuszczam, żeby w mieszkaniu pani Mirosław, chociaż spotykaliśmy się [tam] wielokrotnie. Pani Mirosław była prezeską przez wiele lat. [Możliwe, że] do końca swojego życia. Później już mniej [tym] się interesowałem.

[Pracując jako] dyrektor wydziału przez długie lata, [zajmowałem się] innymi problemami. Ale byłem zawsze bardzo życzliwy Włodkowi Staniewskiemu, jego aktywności i działalności. Uważam, że największą moją zasługą [było] to, że w początkach [stowarzyszenia] daliśmy wsparcie środowiska mającego wpływ na pewne decyzje decydentów. Wsparcie w postaci utworzenia [tej organizacji] i [umiejscowienia jej] w siedzibie Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. I później moja administracyjno-finansowa decyzja związana z przekazaniem etatów dla Staniewskiego.

9. Stan wojenny –nagle wszystko zostało zawieszono

Wszystko w stanie wojennym się wyciszyło. Nie bardzo mogę powiedzieć, co robiliśmy, czy się spotykaliśmy. Myślę, że się nie spotykaliśmy, przynajmniej jako stowarzyszenie. Jak zostałem dyrektorem, to stan wojenny trwał dwa miesiące. Miałem cały szereg problemów, które wydawały się mnie przerastać. Nagle wszystko

zostało zawieszono. Środowisko ludzi do tej pory aktywnych, ustawicznie coś robiących, produkujących. Malarze sprzedający swoje dzieła, którzy działali w związkach twórczych. Wystawy. Teatry. Filharmonia...

To były bardzo trudne czasy. Miałem z tym wiele kłopotów. Ale myślę (tak to przynajmniej odbieram), że całe środowisko lubelskich twórców kultury [zachowywało się] spokojnie i lojalnie w stosunku do walki o nową rzeczywistość. To się czuło wśród tych ludzi. Szczególnie literatów, ale [też] artystów plastyków. To było bardziej jasne i bardziej zdecydowane stanowisko za ruchem solidarnościowym, a przeciwko stanowi wojennemu.

Wtedy praca Wydziału [Kultury] i moja aktywność skupiały się [na tym], jak pomóc ludziom, którzy nagle zostali bez możliwości, także finansowych. Różne były drogi, żeby [tego dokonać]. Między innymi dawaliśmy różnego rodzaju zapomogi. Ale żeby nie zarzucano nam, że [pomagamy] osobom fizycznym, to wymyślaliśmy różnego rodzaju [konkursy]. Na przykład konkurs plastyczny o wybitnych postaciach z historii Polski. Każdy artysta, który zrobił taki portret, dostawał honorarium. Więc to była pośrednia pomoc. [Z jednej strony] mobilizowaliśmy do aktywności, a [z drugiej] mogliśmy wspomóc finansowo. Ale nieraz dawaliśmy też zapomogi. Na przykład Józefowi Madejowi, takiemu wielkiemu opozycjonście, z którym dużo wcześniej współpracowałem w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, daliśmy maszynę do pisania. Bo były problemy. Nie pamiętam, jakim sposobem pracownicy wykombinowali, że się znalazła jakaś maszyna. I daliśmy [ją] panu Józefowi. Podaję to jako przykład.

Gardzienice, teatry Provisorium, Grupa Chwilowa, Scena 6 i Scholares Minores pro Musica Antiqua – trzy ważne dla mnie decyzje. To [było] coś nowego, innego. Coś, co się zradzało jeszcze przed stanem wojennym. I w [jego] wyniku, przy chwilowym załamaniu się, wymagało wsparcia. Byliśmy przekonani, że to jest na tyle wartościowa inicjatywa młodych ludzi (bo wszyscy byli młodzi), że nie może pozostać bez pomocy. I –chwała Bogu –wszystko działa.

10. Teatry, które nie pasowały do pierwszego uniwersytetu Polski Ludowej

Będąc jeszcze na uczelni, wspierałem młodointeligencki alternatywny teatralny ruch studencki. Jako szef ZMW współdziałałem z Andrzejem Rozhinem. [Pełniłem] też [funkcję] przewodniczącego komisji kultury ZSP. Więc to wszystko, co robili studenci, było bardzo mi bliskie i bardzo to wspierałem. Także wtedy, kiedy [pracowałem] w TWP. To też byli ludzie, których mogłem wykorzystywać w upowszechnianiu wiedzy. Jak mówiłem, współpracowałem z ponad dwoma tysiącami ludzi –różnych zawodów, różnych specjalności. I musiałem też sięgać do trochę młodszych środowisk, czyli studenckich –[w zależności od pojawiających się] zapotrzebowań na tematy.

Był nawet taki czas, [kiedy] utworzyliśmy studium Młodego Popularyzatora Wiedzy na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, przy współpracy z władzami uczelni. Kształciliśmy studentów w metodyce upowszechniania wiedzy. To dodatkowy przykład szukania ludzi do aktywności oświatowej, do upowszechniania i

popularyzacji wiedzy [oraz przykład] mojej bliskości z ruchem studenckim już po [moich] studiach.

Wszyscy ci z teatrów Provisorium, Grupa Chwilowa, Scena 6 to byli ludzie, których znałem i których wspierałem. To jest szalenie ważne. Ten alternatywny ruch studencki, jak wtedy mówiliśmy, był młodointeligenckim wyróżnikiem. Trzeba było [przekonać decydentów] jakimiś merytorycznymi argumentami albo przynajmniej samą nazwą –niekoniecznie dla [nich] zrozumiałą, ale ładnie brzmiącą. Może ja tu kpię, ale takie były też sytuacje. Ruch studencki rzeczywiście wspierali niektórzy towarzysze. Maciej Karczmarszuk, który wtedy [pełnił funkcję] sekretarza propagandy KW. Rysiek Piotrowicz –kierownik wydziału propagandy. W tej chwili jest dyrektorem biura zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Zaproponowałem [go] na to stanowisko, ponieważ jest wyjątkowo mądrym facetem z pozytywną przeszłością. [Więc] to [są] ludzie, którzy żyją i funkcjonują. Oni zdecydowanie popierali te teatry.

To były czasy po stanie wojennym. Partia z większym luzem patrzyła na pewne decyzje, ale próbowała jeszcze kierować, sterować. Niestety ciągle [istniało] to uzależnienie, przynajmniej teoretyczne. Dzięki Karczmarszukowi i Piotrowiczowi moje decyzje [stały się] możliwe do podjęcia. Wsparli mnie w moim [działaniu]. Tak] jak profesor Uziak, ówczesny rektor, jeśli dobrze pamiętam. Blisko ze mną współpracował też Jan Twardowski. Znana teraz osoba. Nie wiem, czy już [pełnił funkcję] dyrektora Wydziału Kultury w Urzędzie Miejskim. Chyba [tak]. Oczywiście Jasio był po naszej stronie i się zastanawiał, jak pomóc, aby nie zaprzepaścić tego ruchu.

I nagle [twórcy tego ruchu] stanęli na niczym. Nie mieli niczego. Były to teatry, które nie pasowały do funkcjonowania pierwszego uniwersytetu Polski Ludowej. Przepraszam za złośliwość, ale wtedy tak na to patrzyłem. Profesor Uziak, rektor, uznał, że działają niezgodnie z linią partii. Tak myślę. Ja to tak odbieram. Bo jakie mogły być inne powody? Chyba że jakieś jeszcze organizacyjne, finansowe. [Ale] nie sięgałem głębiej do istoty i do przyczyn [tej sprawy].

Dla mnie ważne było moje myślenie i moja wartość o ich działalności. Dlatego podjąłem decyzję przekazania pieniędzy Urzędowi Miasta na teatry. Tadeusz Wilk, wojewoda lubelski, nie sprzeciwił się [temu]. I te środki poszły. Pan Twardowski miał, że tak powiem, całkowicie wolną rękę i wsparcie swoich władz. Znakomicie wykorzystał te środki. Znakomicie zagospodarował młodointeligencki alternatywny ruch teatralny. Czyli Provisorium, Scena 6 i Grupa Chwilowa. [One] funkcjonowały przez cały czas. I [działają] do tej pory.

Od decyzji o przekazaniu [dla nich] środków, podjętej w Wydziale Kultury Urzędu Wojewódzkiego, zaczęło się bardziej normalne funkcjonowanie teatrów w Centrum Kultury w Lublinie. [Ponieważ] już wtedy przejął to Wydział Kultury i [ten ruch zaczął działać] w Centrum. Cenię sobie tę decyzję –podkreślam jeszcze raz –popartą przez ówczesnych propagandzistów z KW, czyli panów Karczmarszuka i Piotrowicza.

11. Scholares Minores pro Musica Antiqua w Poniatowej

Szerzej myślący ludzie –także wspomniani już towarzysze [Maciej Karczmarczyk i Ryszard Pitrowicz –red.] –wsparli [mnie] w ważnej decyzji dotyczącej Stowarzyszenia Muzyki Dawnej w Poniatowej (Scholares Minores pro Musica Antiqua) Witolda Danielewicza. To [była] jedna z pierwszych moich decyzji: utworzenie tego stowarzyszenia i przekazanie [jego członkom] pałacu w Kraczewicach. [Wtedy] bardzo mnie wsparł ówczesny mój zastępca (w tej chwili dyrektor warszawskich Łazienek) Tadeusz Zielniewicz. Bardzo często u nich bywałem, wspierałem ich w różnych problemach organizacyjnych, kadrowych. Do tej pory [to robię]. Zaslugują na to. To stowarzyszenie funkcjonuje bezbłędnie. Rozstawia polskie imię na całym świecie. Mają teraz kłopoty. Obecna władza niekoniecznie rozumie istotę tej [organizacji]. Ale to już inna sprawa.

12. Bez wsparcia ludzi moje decyzje by nie istniały

[Istniała] współpraca [między Wydziałem Kultury Urzędu Wojewódzkiego a Wydziałem Kultury Urzędu Miejskiego]. Mieliśmy bardzo dobre relacje z władzą terenową. Współdziałaliśmy [ze sobą]. Kolega Jan Twardowski został dyrektorem. To my nawzajem dobrze się znaleźliśmy, pracowaliśmy razem w Wydziale Kultury. Dobrze wiedzieliśmy, [że] możemy na siebie liczyć.

Żeby coś ruszyło, żeby coś się zaczęło, żeby poszło do przodu –musiało się od czegoś zacząć. Tym początkiem była decyzja administracyjno-finansowa w Urzędzie Wojewódzkim podjęta przeze mnie i później przejęta przez mądrych ludzi. [W Poniatowej przez] państwo Danielewiczów, w [Lublinie] przez Jasia Twardowskiego czy Włodka [Staniewskiego], który sam sobie radził, chociaż nie bez problemów. Miał mnóstwo [kłopotów] z całkowitym przejęciem Gardzienic, z remontem. Ale to działa, to funkcjonuje. Bez wsparcia ludzi, o których mówiłem, moje decyzje by nie zaistniały. Musiałem mieć jakieś wsparcie.

13. Sceną Teatru Muzycznego były Puławy

Był problem z Teatrem Muzycznym. [Miał] siedzibę w Garnizonowym Klubie Oficerskim. Remont [czy] inne plany wojska doprowadziły do tego, że zabrano [im] lokal. Więc [musieliśmy] znaleźć [inne] miejsce. [A ponieważ] przejęliśmy Puławski Dom Kultury (wtedy Zakładowy Dom Kultury), [to] przez [chyba] dwa lata sceną Teatru Muzycznego były Puławy (Dom Chemika). Udało nam się nawiązać [z nimi] bardzo bliską współpracę i współfinansować [Teatr Muzyczny]. Wtedy nie było jeszcze takiego pojęcia, jakie obowiązuje teraz, że [pieniądze] częściowo daje administracja samorządowa (gminna czy wojewódzka). Wtedy ktoś miał to finansować i koniec. To było bardzo kłopotliwe. Ale [organizowano tam] bardzo udane premiery. Później władze miasta (wsparała nas tutaj Miejska Rada Narodowa) dogadały się z kolejarzami. I przez długie lata sceną [Teatru Muzycznego] był Dom

Kultury Kolejarza.

14. Jak zostałem dyrektorem, to Teatr w Budowie był teatrem bez budowy

Jak zostałem dyrektorem, to oczywiście Teatr w Budowie był teatrem bez budowy. [Jeszcze go] się nie budowało. [Wszystko] stało puste, zabite dechami. Nie wiem już, kto [podjął] osobistą, że tak powiem, inicjatywę przygotowania dokumentacji, materiałów pozwalających na powrót do budowy teatru. Ale myślę, że to było [zamierzenie] ówczesnego wojewody Tadeusza Wilka. I udało się rozpocząć tę budowę.

Ja też [zdołałem] zmienić, jak to się mówiło, założenia ideowe dotyczące Teatru w Budowie. Nie ukrywam, inspirowane przez Adama Natanka, dyrektora filharmonii, i dyrektora Andrzeja Chmielarczyka. [Chodziło o to], że [chcieliśmy] tam wprowadzać na dużą scenę w kolejności: filharmonię, teatr muzyczny i ewentualnie teatr dramatyczny jako teatr impresaryjny. Takie [mieliśmy] koncepcje. I pierwszymi instytucjami artystycznymi, które się wprowadziły do tego obiektu, były filharmonia [oraz] teatr muzyczny. To bardzo rozwalilo pierwotny [pomysł] powstały przed 1974 rokiem, kiedy wkopano kamień węgielny. [Ponieważ wtedy wznoszono] teatr dramatyczny, a nie budowano filharmonii ani teatru muzycznego. W każdym razie ja taką dokumentację zastałem. [Więc] teraz mamy tak, jak mamy. I może dobrze.

Jeszcze za jedną rzecz [wzięliśmy] się dość aktywnie i zdecydowanie. Aczkolwiek może za wolno. Mieliśmy pewną koncepcję na teatr impresaryjny, Teatr Stary na Starym Mieście. Tę całą sprawę pilotowała Estrada Lubelska. Ale skończyło się tak, jak się skończyło. Przyszedł 1989, 1990 rok. Zmiana władzy, zmiana koncepcji. Później my (myślę o Urzędzie Wojewódzkim) już nie byliśmy w stanie podejmować innych decyzji. Dlatego to się skończyło.

15. Po 1989 roku kadra kierownicza Urzędu Wojewódzkiego została odwołana

Zawsze tak jest, że przy jakichś ważnych zmianach kadrowych, politycznych, gospodarczych, społecznych i nie wiem jeszcze jakich, następują zmiany kadrowe. I właściwie wszyscy ludzie, którzy dotąd pracowali w Urzędzie Wojewódzkim po 1989 roku (myślę o kadrze kierowniczej), zostali odwołani. To były nowe czasy, nowi ludzie. Chcieli pracować z nowymi środowiskami.

Ja też dostałem takie odwołanie. Co prawda dopiero w 1991 roku. Czyli jeszcze przez jakiś czas [tam pracowałem]. Od 1 stycznia 1992 roku skorzystałem z propozycji pani minister [Izabelli] Cywińskiej, z którą miałem bardzo dobre relacje, i zdecydowałem się na pracę w Muzeum na Majdanku. Bo dyrektor Majdanka Edward Dziadosz wybierał się na emeryturę. Bardzo zasłużony dla muzeum. Już nie żyje. Jego poprzednik Edward Gryń też mnie wyjątkowo wspierał. I samo środowisko Majdanka chciało, żebym tam przyszedł. Bo też z nimi współpracowałem w upowszechnianiu wiedzy o historii. Byłem tam dyrektorem przez szesnaście lat. Dopiero [wtedy] zaczęły się realizować moje pierwotne zainteresowania historią

najnowszą.

Powiem szczerze (może to będzie świadczyć o zarozumiałości i o złej ocenie swojego miejsca w pracy w administracji państwowej), nie spodziewałem się, że mam przeszłość dającą powody do tego, żeby uznać mnie za człowieka, który źle służył kulturze i miejscu, [w jakim] pracował. I za co brał pieniądze. Wręcz przeciwnie. Miałem bardzo dobre kontakty z bardzo znaczącymi, liczącymi się wtedy ludźmi z opozycji. Którzy zarabiali u mnie w tym Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, mając kłopoty w pracy [albo] będąc nieraz na bezrobociu. Wydawało mi się, że mam za sobą i dobrą przeszłość. Okazało się jednak, że zdecydowana większość [osób] została odwołana. Nowi, którzy przyszli, nie zrobili głębszej analizy sytuacji kadrowej i roli poszczególnych ludzi. Pewnie gdzieś na górze albo na szczęblu wojewódzkim ci –używam tego słowa w pozytywnym znaczeniu –odnowiciele doszli do wniosku, że wszystkich starych trzeba usunąć. I koniec.

[Odwołanie] przyszło w najmniej spodziewanym dla mnie momencie. [Trwał] trzydniowy Ogólnopolski Kongres Towarzystw Regionalnych w Lublinie. Znakomity lubelski ruch regionalny. Wspierałem [go]. Mieliśmy tu spore sukcesy. Między innymi pani minister Cywińska zaproponowała, żeby zorganizować w Lublinie kongres. Był wyjątkowo udany –nasze prezentacje, prezentacje innych towarzystw, merytoryczna dyskusja... W niedzielę wojewoda wydał obiad z udziałem ważnego decydenta. [Pani] dyrektor departamentu z ministerstwa wyjątkowo mnie chwaliła za moją aktywność, odpowiedzialność. Była to znakomita ocena.

Ale takie były czasy, że się odwoływało ludzi, niekoniecznie mając rozeznanie i robiąc analizę ich roli, zasług czy [ich] błędów. To trochę bolało. Ale bezboleśnie mogłem sobie pójść na Majdanek. I mile wspominam ten czas. Mimo że to był trudny okres.

16. Maria Kuncewiczowa –początek znajomości

W Wydziale Kultury miałem przyjemność się zetknąć z Marią Kuncewiczową. W ogóle nie [byłem] świadomy, że kiedykolwiek może zdarzyć się to, co się zdarzyło później. Oczywiście wiedziałem, [kim] jest. [Znałem ją] jako pisarkę mieszkającą w Lublinie. Gdy byłem w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, z wieloma ludźmi organizowaliśmy jej spotkania autorskie. Ona pewnie wiedziała, o jakimś tam Balawejderze robiącym te spotkania.

[Kiedy] zostałem dyrektorem Wydziału Kultury, zadzwonił do mnie Józef Tejchma, ówczesny minister kultury. Urodził się w tej samej Markowej, [co i] ja. Znacznie ode mnie starszy. Był twórcą nowego Związku Młodzieży Wiejskiej, w którym to ruchu i ja działałem. Dowiedział się, [że zacząłem pełnić tę funkcję] (może wojewoda się z nim konsultował –nawet tego nie sprawdzałem). Zadzwonił do mnie z gratulacjami i z informacją, że przyjedzie mnie odwiedzić. Przeraziłem się. [Powiedziałem]: „Zadzwoń do wojewody” Bo wojewoda by mi łeb urwał. W rozmowie między nami zaproponowałem, żeby jego wizyta nabrała urzędowego charakteru: minister, w uzgodnieniu z wojewodą, odwiedza nowego dyrektora. Rzeczywiście złożył wizytę

województwie. Przyszli obaj do mnie do wydziału.

Minister Tejchma zaproponował mi wyjazd poza Lublin. „Pojedziemy do Marii Kuncewiczowej” Uważam, [że był] wyjątkowo mądrym ministrem. I [odnosił się] wyjątkowo życzliwie [do] wszystkiego, co robiła Maria Kuncewiczowa, chętnie ją wspierał. [Oni] się znali. [Minister] wcześniej ją odwiedzał. Wprowadził mnie w bliższe kontakty z [nią]. Poznałem ją bliżej, [kiedy] była już panią po osiemdziesiątce. Bo to był 1982 czy 1983 rok. A umarła w 1989 roku w wieku 94 lat.

17. Maria Kuncewiczowa, kiedy potrzebowała pomocy, zwracała się do mnie

Pani Kuncewiczowa, szczególnie gdy umarł Jerzy [Kuncewicz], [kiedy] potrzebowała jakiejś pomocy, zwracała się bezpośrednio do mnie albo za pośrednictwem Tadeusza Rogulskiego, swojego wychowanka (ważna postać w życiu Marii Kuncewiczowej; jedyny syn Witold mieszkał w Stanach), a później dyrektora Muzeum Nadwiślańskiego pana Jerzego Żurawskiego. Wymyśliliśmy z Jerzym Żurawskim, że będziemy wspierać panią Marię poprzez umowę wynajęcia przez nią części domu (Kuncewiczówki) na magazyny muzealne. [Chodziło o to], żeby [otrzymywała] dodatkowe pieniądze na utrzymanie tego domu. Bo to [była] duża przestrzeń, [która] wymagała jakiejś opieki, jakiegoś remontu, zabezpieczenia. I nade wszystko [sporych] pieniędzy na ogrzewanie.

We wszystkim ją wspierałem. Odwiedzałem [panią Marię], organizowałem różne wizyty –władz wojewódzkich, [Wojciecha] Jaruzelskiego. Bardzo [go] ceniła, ciągle zastrzegając, że nie interesują ją jego poglądy polityczne. Bo ona [była] apolityczna. Ale dobrze jej się z nim dyskutowało [jako] z wykształconym człowiekiem. W każdym razie ja też mile wspominam wizyty Jaruzelskiego. Nawiasem mówiąc, spotykałem się [z nim] po śmierci pani Marii, organizując z kolei wizyty z Witoldem, [jej] synem. Bo oni obaj też się zaprzyjaźnili.

18. Maria Kuncewiczowa –potrafiła zaskakiwać

Kasia Szeloch –lubelska zwariowana literatka –napisała książkę [o pani Marii]. Dałem jej mnóstwo adresów osób, które miały bliskie kontakty z Kuncewiczową. Osób, które ja też poznałem. Żeby opisać panią Marię też jako osobę. To są wyjątkowe opinie między innymi [Zofii] Kucówny, [Adama] Hanuszkiewicza, Zofii Nasierowskiej, [Janusza] Majewskiego, Jana Józefa Szczepańskiego, Danusi Sękalskiej (literatki, tłumaczki Amosa Oza). Mnóstwo wypowiedzi wielu różnych ludzi. Moja [też] tam jest.

Jaka była pani Maria? Zadbana, zawsze elegancka, zawsze umalowana, pełną gracji, dystynkcji. Niezmiernie starannie się ubierała. Pięknie mówiła –bardzo wolno, bardzo przestrzennie. W każdym zdaniu czuło [się] kropkę nad i. Czuło [się] przecinek. Rzadko patrzyła w oczy. [Raczej] gdzieś w przestrzeń. Mówiła pięknym, cudownym polskim językiem.

Ostatnią jej książką [były] „Listy do Jerzego” Osobiste refleksje Marii Kuncewiczowej

o swoim życiu i kontaktach z [mężem]. A nie ma osoby lepiej czytającej [jej] teksty [od] Zofii Kucówny. I w tych „Listach do Jerzego” czytanych przeze mnie czy słyszanych w wykonaniu Zofii Kucówny, ciągle czułem i słyszałem głos Marii Kuncewiczowej.

Niesamowita osoba. Właściwie wszyscy odbierają ją podobnie: jako spokojną, zrównoważoną, taktowną damę. Chociaż czasem dowcipkowała. [Mówiła] z fantazją. [Opowiadała] żarcik. Czasem używała pewnych porównań w niekoniecznie poważnych sytuacjach –jakieś odniesienia do czegoś niepoważnego. Potrafiła zaskakiwać.

Na przykład któregoś dnia zadzwonił do mnie portier. [Powiedział], że na dole w urzędzie czeka [na mnie] jakaś starsza pani. Zszedłem. [Zobaczyłem, że] siedzi pani Maria. Przywiózł ją pan Tadeusz Rogulski. Zapytałem: „Co się stało?” „Wie pan co, bo skończyły mi się talony na benzynę” ([wtedy] dyrektor Wydziału Kultury był bardzo ważną osobą, bo przyznawał talony na benzynę artystom i ludziom kultury). [Powiedziałem]: „Przecież mogła pani zadzwonić. Ja bym to pani przywiózł” „Panie dyrektorze, pan jest dyrektorem. Gdzież by mi pan przywoził talony” To [była] Maria Kuncewiczowa. Wzruszyła mnie.

Czasem mówiła do nas po imieniu, bez zahamowania. My nigdy. W wielkiej z [nią] przyjaźni była Zofia Kucówna. Maria Kuncewiczowa zawsze [zwracała się] do niej: Zosiu. Ale [ona] nigdy nie odważyła się [skierować] do pani Marii po imieniu. Do Adama Hanuszkiewicza, bo wtedy byli oboje [z Zofią Kucówną], też [mówiła] po imieniu. [Oni] bardzo często bywali w domu Kuncewiczów. Kuncewiczowa o tym mówiła wielokrotnie w nagraniach, wspominała też w „Listach do Jerzego” Zofia Kucówna [również] o tym dość szeroko pisze w jednej ze swoich książek. Bardzo się przyjaźnili, bardzo często się spotykali. Później, gdy [Kucówna] rozeszła się z Hanuszkiewiczem, przyjeżdżała także sama. [Również] po śmierci pani Marii.

Bardzo mnie wspierała w działalności Fundacji Kuncewiczów. Robiliśmy wspólne spotkania. Kucówna, z tych [osób] publicznych, które się udzielały w zarządzie fundacji, miała inną legitymację do swojej aktywności w tym domu. Bo była zaprzyjaźniona z panią Marią, z tym domem. Bywała [w Kuncewiczówce] wiele razy [przez] wiele lat. Z Kucówną mamy do tej pory kontakty, spotykamy się. Niestety, ostatnio na pogrzebach członków rodziny Kuncewiczów.

Kuncewiczowa ceniła [profesora Zdzisława Cackowskiego]. Lubiała z nim gadać i filozofować. Często w [trakcie dyspu]t odwoływała się do myśli politycznej Jerzego, swojego męża. Miała więc materiał do dyskusji z Cackowskim.

Te lata pozwoliły mi na poznanie rodziny Kuncewiczowej. Syna, synowej, Jana Józefa Szczepańskiego (bratanka pani Marii), Piotra Kuncewicza (siostrzeńca Jerzego Kuncewicza) czy pana Musiała (też siostrzeńca pana Jerzego). Pana Jerzego nie poznałem bliżej. Chociaż miałem z nim kilka spotkań. Ale wielokrotnie pisałem o Jerzym i o jego myśli politycznej. To mnie bliżej interesowało jako historyka [oraz] ludowca. Wkomponowałem się w [tę] rodzinę. [Trafiłem do grona] niektórych

przyjaciół Marii Kuncewiczowej, którzy według testamentu zostali –przynajmniej moralnie –zobowiązani do [jego] wykonania.

19. Fundacja Kuncewiczów działała od 1992 do 2005 roku

Pani Maria [Kuncewiczowa] umarła. Zrobiliśmy pogrzeb. Trzeba było się zająć domem. Po [jej] śmierci utworzyliśmy fundację. [Pracowałem] jeszcze [jako] dyrektor Wydziału [Kultury, chociaż było to już] w końcówce mojego dyrektorowania. Utworzyliśmy i rejestrowaliśmy statut z lubelskimi prawnikami Urzędu Wojewódzkiego. Udało się [to] w 1992 roku. Już byliśmy po rozmowach z członkami zarządu fundacji. Wtedy Jan Józef Szczepański, który [należał do] rady fundacji, powiedział mi: „Jesteś najlepszym kandydatem [na stanowisko] dyrektora fundacji” Mówił mi po imieniu. Dwa miesiące przed odejściem [z Wydziału Kultury] zostałem dyrektorem fundacji. Dostałem klucz i całą problematykę związaną z domem Kuncewiczów.

[Funkcję] prezesa [pełnił] Witold, syn, bo był twórcą [tej instytucji. Ale] Witek wówczas mieszkał w Old Kennels. Przecież [stamtąd] nic [by] nie zrobił. To trzeba [było] działać tutaj. [W skład] rady fundacji [wchodzili]: Jan Józef Szczepański, Aleksander Gieysztor, profesor Zdzisław Cackowski i Anula Mańkowska (siostra Jana Józefa Szczepańskiego). Później zaproponowałem rozszerzenie zarządu fundacji o Danutę Sękalską (jako warszawską pisarkę, tłumaczkę [Amosa] Oza) i panią Różę Popek (psychologa z UMCS-u).

Fundacja działała od 1992 do 2005 roku. Poprowadzili ją i finansowali tylko i wyłącznie wolontariusze. Nikt nie pracował etatowo. Wszyscy pełniliśmy funkcje społecznie. Wszystkie spotkania, jakie tam miały miejsce, [organizowano] bez honorariów. [Goście] mogli mieszkać w Kuncewiczówce, [bo] były pokoje gościnne. My jako zarząd fundacji zapewnialiśmy wyżywienie. Natomiast nikt nigdy nie brał honorariów.

20. Kuncewiczówka –dokument wspólnej przeszłości

Pani Maria w „Listach do Jerzego” napisała, że chciałaby, żeby Kuncewiczówka była dokumentem wspólnej przeszłości [dla] tych, którzy są tej przeszłości ciekawi. Ale ciekawi tego, co zmienia formę, a nie przemija. To bardzo mądre zdanie, które mogłoby być idealną definicją muzeum. [Kuncewiczówka] zmieniła formę, bo już nie jest domem, w którym mieszkali Kuncewiczowie. Chcieliśmy [zdanie] powiedziane przez [panią Marię] –„Ale nie przemija”–wykorzystać jako funkcjonowanie tego domu ponad czasem. Mimo zakończenia pewnego okresu [on] jest jednak otwarty. Przez te wszystkie lata stał się ośrodkiem życia artystycznego, spotkań artystycznych. Funkcjonował od rana do nocy siedem dni w tygodniu. I to była jego wartość.

[Ten] dom przyciągał ludzi. Wielokrotnie [przyjeżdżała tam] Barbara Kraftówna. Była fanką Marii Kuncewiczowej. [Za każdym] razem musieliśmy ją wozić do teatru Provisorium. Bo ona pasjami bywała na konfrontacjach teatralnych w Lublinie. Bardzo

[to] lubiła. Do tej pory wspiera [te działania]. Przeurocza pani. [Ewa] Dałkowska też [się pojawiała] w Kuncewiczówce. [Grażyna] Barszczewska bywała wielokrotnie gościem. To przeurocza kobieta. Beata Tyszkiewicz. Wiesław Myśliwski (nie jako wolontariusz, a w odwiedziny). Amos Oz. Stanisław Różewicz. Profesor Edward Balcerzak (znany literaturoznawca). Właściwie całe lubelskie środowisko literackie –Stefan Bratkowski, Jarosław Marek Rymkiewicz (ostatnio na jego temat [się pojawiała] ostra dyskusja; w Kazimierzu bywał razem ze swoją żoną). Poza Stanisławem Różewiczem przyjeżdżali literaci z różnych ośrodków: z krakowskiego, wrocławskiego, z Poznania. Mógłbym wymieniać mnóstwo nazwisk.

Agata [Tuszyńska] bywała [w Kuncewiczówce] parę razy. [Jej] przyjaźń z Marią Kuncewiczową była szczególna. Pani Maria bardzo lubiła Agatę. Pisały sobie bardzo piękne listy. Interesuję się tym, co ona robi. I mam nadzieję, że wykorzysta korespondencję z Marią i o niej napisze. Tak przynajmniej ostatnio słyszałem.

21. Przez dwanaście lat zorganizowaliśmy setki spotkań w Kuncewiczówce

Przez dwanaście lat [zorganizowaliśmy] setki spotkań. Praktycznie rzecz biorąc, w każdą sobotę i w niedzielę [coś się odbywało]. Wtedy przyjeżdżało najwięcej ludzi. Nie zdarzyło się, żeby ktoś odmówił [czy] nie przyjechał. Nawet w taką zimę, że [musiało się] przejść na górę piechotą, bo się nie wjechało samochodem –nikt nie zawałił. I nigdy [się] nie [zdarzyło], że nie było frekwencji. [Przyjeżdżały] tłumy ludzi. Na przykład jak Krystyna Janda śpiewała piosenki Marleny Dietrich, to na jej koncercie było ponad tysiąc osób. Tak twierdzą ci, którzy to widzieli. Koncert odbył się na tarasie. I cały olbrzymi ogród był zapełniony. Później Krystyna została jeszcze trochę na rozmowy z ludźmi. [To był] może 1998, 1999 rok –jakiś przełom wieku. Krystyna Janda miała dwa uroczne koncerty w Kuncewiczówce.

[Zorganizowaliśmy] spotkanie z Jeffreyem Archerem –angielski pisarz, autor teatralnego serialu „Kain i Abel” W ostatniej chwili nie mógł przyjechać, ale przysłał syna, [więc] spotkanie się odbyło. [Ponadto] w Kuncewiczówce bywali prawie wszyscy lubelscy poeci z kręgu „Akcentu” Stowarzyszenia Pisarzy [Polskich] czy Związku Literatów Polskich. Był tam [też] na przykład [Tadeusz] Pałka, reżyser mieszkający w Kazimierzu. A na przykład jak spotkanie miał hrabia [Tytus] Dzieduszycki, to pokazywał swoje konie. Andrzej Buck, reżyser i dyrektor teatru z Zielonej Góry, przywoził i pokazywał swoje propozycje teatralne.

Nikt nie wierzył, że uda mi się załatwić [spotkanie ze] Sławomirem Mrożkiem. A [to było] niesamowite spotkanie. Ściągnęło wiele osób. Udało mi się go namówić koniecznie do przeczytania swoich tekstów. Przeczytał kilka nam nieznanym. My ryczeliśmy ze śmiechu, a on –mumia, chodząca mumia. To było rewelacyjne. Nikt nie potrafił zrozumieć, [kiedy] mówiłem, że spędziłem [z nim] trzy uroczne dni w Kazimierzu. Bo wszyscy [odpowiadali]: „Przecież to można się zanudzić” A to było niesamowite. [Mroźek był] uroczym facetem. Wszystko [go] ciekawiło. Oprowadzałem go po Kazimierzu. Wprowadziłem do kilku elegantszych domów, bardziej znaczących

w historii Kazimierza. Bardzo się z tego ucieszył. Sami gospodarze także bardzo serdecznie go gościli. Tak że miłe spotkanie. Niestety, odbyło się niebawem przed jego wylewem. W międzyczasie się umówiliśmy, że przyjedzie z żoną. Bo koniecznie chciał z [nią] przyjechać. [Ale] później [dostał] wylew i tak to się skończyło. Teraz wyjechał i już go nie ma.

Bardzo dobre spotkanie było z Barbarą Kraftówną. Wyjątkowo żwawa, aktywna i dowcipna osoba. Ciesząca się bardzo dużym powodzeniem. Na jej spotkanie przyszło bardzo wiele osób starszego pokolenia, ludzi pamiętających ją głównie z filmu „Jak być kochaną” Ona później na wiele lat wyjechała do Stanów, miała dużą przerwę, więc te młodsze pokolenia jej nie znały.

Spotkania z Zofią Kucówną były rewelacyjne. Na jeden z nich przyjechała z Agatą Tuszyńską. Bo one się przyjaźnią. Kucówna czytała teksty pani Marii –głównie z „Fantomów” „Kluczy”i trochę z „Listów do Jerzego” [Natomiast] Agata mówiła o Kuncewiczowej. Właśnie wtedy publicznie [powiedziała] o listach [jej i Marii Kuncewiczowej]. Przeczytała [jeden z nich]. To było bardzo ciekawe [spotkanie]. Bardzo miłe [je] wspominam. [Wówczas] rozpoczęły się moje kontakty z Agatą.

Dla mnie to była przygoda życia. Poznałem [mnóstwo] ludzi. Z wieloma się zaprzyjaźniłem. To niebywałe. Z Barbarą Kraftówną jesteśmy w serdecznych kontaktach. [Ja również] się [nią] zachwyciłem w filmie „Jak być kochaną” Spotykaliśmy się często w Kazimierzu. Przychodziła do mnie ni z gruszki, ni z pietruszki. Ja chodziłem do jej letniego domu w Kazimierzu. Przeurocza. Nie zapomnę spotkań ze [Sławomirem] Mroźkiem czy z [Zofią] Kucówną. Hrabia [Tytus] Dzieduszycki był moim wolontariuszem. Nawiasem mówiąc, już pod koniec jego życia wybrałem się kiedyś do Wrocławia. Chciałem koniecznie zobaczyć „Skrzypka na dachu” –granego zresztą na dachu. Zadzwoiłem do Dzieduszyckiego. [On] nie tylko załatwił mi bilet, [ale i] poszedł ze mną [na ten spektakl].

Kazimierz to miejsce, do którego ludzie przyjeżdżali na wypoczynek czy w odwiedziny. Każdą imprezę zawsze rozplakatowywaliśmy na dole. Miałem bardzo dobrą, wyjątkowo życzliwą współpracę z prasą. W [gazetach], radio czy w telewizji zawsze [pojawiała się odpowiednia] informacja. W tamtych latach ludzie się śmiali: „Zajrzesz do lodówki, to zobaczysz Balawejdera” Bo bez przerwy gadałem w telewizji czy w radio. To było ważne. I przychodziły [osoby] z przeróżnych środowisk, z przeróżnych miejscowości. Z Warszawy, Poznania, Krakowa. Mnóstwo ludzi. Bardzo często na różnych spotkaniach [pojawiali się] nawet różnojęzyczni słuchacze. Tak że ten dom przyciągał [ludzi]. Wtedy, w tamtych latach, [Kuncewiczówka stanowiła] jedyne miejsce w Kazimierzu, w którym coś się działo. [Tam] zawsze coś się odbywało. Dom był magnesem. Sami Kuncewiczowie sobie zdobywali tych gości. [Spotkania w Kuncewiczówce] najczęściej prowadziłem ja osobiście bądź pani Danuta Sękalska, bądź pani profesor Teresa Zaniewska. Często prowadziły je [także] pani doktor Róża Popek i Jolanta Geras z Wrocławia.

22. Kuncewiczówka –każdy z aktorów musiał przeczytać fragment tekstu Marii Kuncewiczowej

Była taka zasada, że każdy z aktorów uczestniczących w spotkaniach mówił o sobie, prezentował swój dorobek i musiał przeczytać kawałek tekstu Marii Kuncewiczowej. Ten [fragment] wybierałem ja, a nie oni sami. Głównie [myślałem o] ludziach, którzy tam przychodzili. Bo w dużej większości były to [osoby pojawiające się] na wszystkich [spotkaniach]. Chciałem, żeby z tych tekstów dowiedzieli się więcej o samej Marii Kuncewiczowej i o jej życiu.

To było rewelacyjne. Na przykład Beacie Tyszkiewicz [podsunąłem] jakiś tekst z „Fantomów” Miałem do [niej] trochę odległy stosunek. Trochę się jej jakby bałem. Podziwiałem ją jako piękną kobietę, udaną aktorkę, ale damę. I wybrałem jej [fragment], w którym pani Maria bardzo pięknym językiem opisała swoją refleksję na temat domu (bo ona bez przerwy zmieniała mieszkania). Czym dla niej był. Taki tekst uzasadniający, dlaczego w ostatnich latach swojego życia wybrała Kazimierz. Mimo że mogła mieszkać w dobrych warunkach chociażby w Old Kennels u swojego syna. Beata Tyszkiewicz przeczytała [to] rewelacyjnie. „Chociaż pan mi wybrał taki psychologiczny tekst” Nawiasem mówiąc, Beata okazała się wyjątkowo równą i bezpośrednią kobitą. Bardzo miłą.

23. Kuncewiczówka –koncerty, monodramy, wernisaże

Były koncerty muzyczne. Koncertowali znakomici filharmonicy, różni wybitni muzycy z Polski –z Warszawy, Krakowa, Wrocławia, z filharmonii łódzkiej, poznańskiej. Grali [też] filharmonicy lubelscy. Raz [wystąpił jakiś] kwartet. [W Kuncewiczówce stało] pianino, [więc] w salonie pani Marii i na tarasie były koncerty. Cieszyły się dużym powodzeniem. [W trakcie] festiwalu filmów w Kazimierzu większość plenerowych imprez muzycznych odbywała się [właśnie] na tarasie Kuncewiczówki. Śpiewała [tam] na przykład Renata Przemyk. Głównie [była to] muzyka poważna czy lekka, ale filharmoniczna. Nie zapraszałem tam kapel. Czasem. Chyba że [się odbywały] jakieś imprezy kazimierskie, [na przykład] Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych. [Wtedy] przychodzili na górę i koncertowali. Poza tym muzeum w Janowcu nad Wisłą organizowało warsztaty muzyczne. To z Janowca zapraszałem ich i koncertowali na Majdanku.

W [Kuncewiczówce] działa Anna Fornal. Nauczycielka wychowania muzycznego, która założyła Stowarzyszenie „W Stronę Sztuki”popierające młodych zdolnych artystów i piszących, i śpiewających, a nade wszystko grających. To znana lubelska [instytucja]. Nawiązaliśmy z nią współpracę. Artyści, których już w jakiś sposób wypromowała albo chciała wypromować, robili [tam] koncerty, wieczory autorskie. Czasem [udawało nam się] nawet zdobyć jakieś środki pieniężne na wydanie tomiku poezji młodej, początkującej poetki, na przykład z Nałęczowa. W każdym razie zawsze miałem w zanadru możliwość robienia koncertu. Bardzo często było tak, że po spotkaniu z aktorem [bądź] pisarzem [odbywał się] półgodzinny koncert młodego

[muzyka] ze Stowarzyszenia „W Stronę Sztuki” Tak że ten dom [stanowił] też miejsce promocji różnych młodych twórców.

[Zofia] Kucówna zrobiła raz, a może nawet dwa razy, monodram. Pierwsze było spotkaniem z nią o niej samej. [Drugi] zatytułowała „Pani Maria o pani Marii” Jakby sama była panią Marią Kuncewiczową, która na podstawie swoich tekstów [opowiada o sobie]. Później z jakimś monodramem [wystąpiła Barbara] Kraftówna. [Również] Ewa Dałkowska zrobiła monodram. Andrzej Rozhin przygotował spektakl z warszawskimi aktorami oparty na twórczości Marii Kuncewiczowej. Piątka aktorów [wystąpiła].

Organizowaliśmy bardzo dużo wernisaży. Właściwie taką formą, inicjatywą czy przedsięwzięciem, które na co dzień ściągało ludzi będących w Kazimierzu, były wystawy. [Zasadniczo prezentowano tam twórczość] większości lubelskich artystów plastyków. [Istniała] taka zasada, [że] artyści mający swoją wystawę (czy pisarze spotkanie autorskie) równocześnie oprowadzali po [niej] i po domu, [dajmy na to] przez tydzień czy dwa. [Dlatego] nie zatrudnialiśmy żadnego pracownika etatowego.

24. Twórczość Marii Kuncewiczowej jest oparta na jej przeżyciach

Cała twórczość Marii Kuncewiczowej jest oparta na jej przeżyciach. Zadebiutowała w 1926 roku, a ostatnią książkę napisała w 1984 [roku]. Właściwie pisała [przez] cały XX wiek. Zdecydowana większość jej książek, mimo że [stworzyła] sporo opowieści psychologicznych, dotyczy obserwacji życia i świata, w którym żyła. Jeździła od Stanów przez Anglię, Polskę, Hiszpanię, Włochy czy Izrael.

25. Źródła dofinansowania Kuncewiczówki

Była taka zasada, że artysta plastyk, który miał wystawę ([przez dwa tygodnie czy miesiąc –to różnie było), jeden sprzedany obraz przeznaczal na działalność fundacji. Dzięki temu mogliśmy mieć środki finansowe na prowadzenie domu i fundacji. Poza tym [dysponowaliśmy] jeszcze środkami finansowymi zarobionymi przez samą panią Marię.

Jeszcze jak byłem dyrektorem Wydziału Kultury, próbowałem namawiać panią Marię, żeby się zgodziła wydać jakieś książki w Wydawnictwie Lubelskim (to było bardzo dobre wydawnictwo). Najpierw powiedziała, że nie będzie [publikować] w tej komunistycznej [oficynie]. Zacząłem ją przekonywać, pokazywać autorów, którzy tam wydawali, i jak to [wyglądało]. W pewnym momencie powiedziała mi tak: „Dobrze, panie Edwardzie. Ja się godzę, pod jednym warunkiem. Że będą dzieła wybrane moje, a dzieła wszystkie Jerzego” Myślę: to nieźle. „Przygotuję panu listę” [Wypisała] dzieła wszystkie Jerzego (między innymi „Wyspy pamięci” „Przebudowa”, a ze swoich [wybrała] tylko dwanaście pozycji. Jerzy wydał pięć poważnych książek. Bo ona nie [podała] sztuk teatralnych, tylko teksty politologiczne. Był prawnikiem, przedwojennym wydawcą, szefem firmy budowlanej. Tak że raczej nie zarabiał pisaniem.

Pani Maria się zgodziła. Wydawnictwo Lubelskie podpisało z nią umowę i wydało chyba pięć jej książek i trzy Jerzego. I pani Maria zmarła, nie odebrawszy honorarium. [Powiedziałem] Witoldowi, synowi, który [po niej] dziedziczył, że jeśli chcemy prowadzić tę działalność i utrzymać ten dom, [to] musimy mieć jakiś majątek początkowy fundacji. Zaproponowałem, że czterdzieści tysięcy złotych należne za honoraria wezmę [w postaci] książek pani Marii, które [się znajdowały] w magazynach Wydawnictwa Lubelskiego. To była chyba wiosna 1993 roku. Duży pieniądz, nawet jak na początek fundacji. Przywieźli mi trzy żuki książek Marii i Jerzego Kuncewiczów. Ładnie [je] poukładaliśmy i sprzedawaliśmy. Dom odwiedzano bezpłatnie. Nikt nie musiał [nic] płacić. Mógł [tam] chodzić o każdej porze dnia. Mógł dotknąć, dopatrzeć. Oglądało się to jak normalny dom. Nie jak w muzeum. Od rana do wieczora wolontariusz był na chodzie i oprowadzał [ludzi]. Jeśli [ktoś] miał ochotę, [to mógł] kupić jakąś książkę Marii albo Jerzego.

Tak sprzedawaliśmy te książki. To były tanie rzeczy. Najczęściej za dziesięć, piętnaście złotych. W grubych okładkach za dwadzieścia, a w cienkich za dziesięć złotych. Ludzie kupowali. Jak ktoś trafił na dyżur [Zofii] Kucówny, był przez nią oprowadzany, to przecież wydałby wszystkie pieniądze na książki, żeby tylko Kucówna podpisała [mu] „Listy do Jerzego” Zrobiliśmy dekoracyjną pieczętkę fundacji Kuncewiczów. Stemplowaliśmy [książki]. Ludzie byli bardzo wdzięczni. Rozprowadzaliśmy też „Akcent” Później artyści plastycy zostawiali jakieś swoje karteczki, swoje książki do sprzedaży –też z przeznaczeniem na fundację. Na przykład Longin Okoń, znany chełmski pisarz, dał mi [na ten cel] bardzo dużo książek. [Wychodziły z tego] duże pieniądze. Nieraz udawało się [zarobić] trzy, cztery tysiące miesięcznie. [Te] pieniądze [przeznaczaliśmy] na prowadzenie fundacji. Miewaliśmy sponsorów. Czasem Urząd Marszałkowski, firma handlowa z Puław. Ze dwa razy jakieś pieniądze dał burmistrz Kazimierza. [Niekiedy] wspierały mnie firmy pogrzebowe (przepraszam, że to mówię) dzierżawiące teren na Muzeum na Majdanku. Znaliśmy się. I wiedząc, że zajmuję się Kuncewiczówką, czasem przynosili pieniądze, które się przelewało na konto. Oni później sobie to odliczali.

26. Muzeum Marii i Jerzego Kuncewiczów

[Witold], widząc, że lata lecą i [że] się starzeje, koniecznie chciał sprzedać [Kuncewiczówkę]. Bardzo mnie namawiał do tego. Dom i cała posiadłość zostały wycenione na milion sześćset czterdzieści tysięcy złotych. Było bardzo dużo zabiegów, różnych podchodów. Między innymi pani Guzowata chciała kupić [dom] dla swojego syna fotografa. Przyjeżdżała na rozmowy. [Zjawiali się też] inni chętni. Nagimnastykowałem się [z tym]. Rozmawiałem między innymi z ministrem kultury [Waldemarem] Dąbrowskim, żeby to poparł. Ściągaliśmy [go] do Lublina. Pisałem do [Jolanty] Kwaśniewskiej. Nawet mnie wspierała. [Tak jak] Jan Wołek, [który] zrobił ze mną program. Robiliśmy wszystko –Krystyna Kotowicz (bardzo życzliwa dziennikarka dla Teatru NN) i inni z lubelskiego środowiska –żeby namówić lubelskie władze

oświatowe czy administracyjne [do kupna tego domu] na muzeum. I nic z tego nie wychodziło. Ale się udało przekonać ówczesne lubelskie władze samorządowe.

Urząd Wojewódzki wygospodarował dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy. Wykupiono [Kuncewiczówkę za pół ceny od Witolda i utworzono muzeum Marii i Jerzego Kuncewiczów. Udało się [to] załatwić [dzięki] życzliwości władz wojewódzkich [oraz] Edwarda Wojasa (niestety już świętej pamięci) i jego ludzi z kręgu decydentów. Natomiast wszystkie ruchomości (czyli osobiste pamiątki po państwie Kuncewiczach) Witold przekazał bezpłatnie jako eksponaty muzealne. [Wtedy] rozwiązaliśmy fundację. A dom administruje i prowadzi Muzeum Nadwiślańskie.

Na szczęście została wypełniona wola Kuncewiczowej, że jest to dokument pewnej przeszłości, pewnego stylu życia. I ludzie chcący poznać to, co robiła, i miejsce, w którym mieszła ze swoim mężem, mogą nadal tam przychodzić. Jest to kolejne muzeum literackie. Tak że bardzo sobie to cenię. [W tym] też zaowocowała moja determinacja. To kosztowało mnie bardzo wiele rzeczy. Wspierali mnie w tych działaniach świętej pamięci Krystyna Kotowicz [oraz] cały zespół ludzi. I udało się wypełnić wolę pani Marii.

Gdyby Andrzej Celiński dłużej [pełnił funkcję] ministra kultury ([on] też mnie odwiedził w Kuncewiczówce), [to] dom z całą pewnością pełniłby rolę ośrodka pracy twórczej Biblioteki Narodowej. Bo taki był [jego] pomysł. Celiński powiedział, że da pieniądze, jeśli zrobimy z tego ośrodek pracy twórczej (wtedy dyrektorem Biblioteki Narodowej był Michał Jagiełło –pisarz, wybitny opozycjonista i działacz kultury). Minister Celiński już nawet [mi] zaproponował, żebym prowadził ten dom. Ja nie chciałem rezygnować z pracy na Majdanku. [Powiedział]: „[Skoro] pan prowadzi [ten dom] społecznie, to dlaczego nie może [go] pan prowadzić jeszcze za jakieś pieniądze” Uzgodnili, że dostanę jeden, może dwa etaty. [Odparłem]: „Dobrze, to umówmy się, że dostanę jeden pełny etat i pół, żebym przynajmniej miał na koszty podróży” Czyli pan Celiński poważnie myślał [o kupnie Kuncewiczówki], skoro przedstawiał mi takie rzeczy. Ale odsunięto [go] ze stanowiska ministra. Michał się wycofał. To [był] jedyny minister kultury, który bardzo się [do tego] zapalił i powiedział, że to [jest] warte świeczki.

[Kuncewiczówka] to olbrzymi dom. Trzy i pół hektara na terenie Kazimierskiego Parku Krajobrazowego. Przecież [musieliśmy tego] pilnować i odpowiednio to zagospodarować. Nie można było chodzić po pokrzywach, tylko trzeba było kosić. Jesienią grabić liście. To było wiele pracy. Jak trzeba było wiosną myć okna, to panie z biblioteki przychodziły pomagać. [Spotykaliśmy się z] dość daleko idącą życzliwością.

Dom [należało] remontować. Zmieniliśmy gonty. Zrobiliśmy gazowe centralne ogrzewanie, wewnętrzne malowanie. Wyremontowaliśmy murek od ogrodu. Mimo wszystko to było za mało. Teraz Muzeum Nadwiślańskie, [które] tym administruje, [wykonało] bardzo piękny remont. [Odrestaurowali] idealnie przyziemie, tworząc miejsce do pracy muzealnej, [na] magazyny. Pięknie. Tak że bardzo się cieszę, że się udało to załatwić i [że Kuncewiczówka] pełni prawdziwą rolę muzeum

biograficznego.

27. Witold Kuncewicz bardzo blisko ze mną współpracował

Witold bardzo blisko ze mną współpracował. Często bywał [w Polsce]. Żyli jeszcze Jan Józef Szczepański i [jego] siostra pani [Anna] Mańkowska –bratankowie Marii Kuncewiczowej. Aleksander Szczepański był [jej] jedynym bratem. Nawiasem mówiąc, Aleksander Szczepański przewodniczył polskiej delegacji podczas podpisywania traktatu wersalskiego w 1918 roku w Paryżu. A pani Maria [pełniła rolę] tłumaczki polskiej delegacji. Był też Piotr Kuncewicz i Musiał. To z kolei siostrzeńcy pana Jerzego. [Ale] Witold nie utrzymywał z nimi bliskich kontaktów. Nie wiem zresztą dlaczego. [Przez] wszystkie lata po śmierci matki byłem jedyną osobą, z którą się kontaktowałem. Dzwonił, mailował i przyjeżdżał. Ja się wszystkim zajmowałem. Bywałem też u niego, [kiedy] czasem [wyjeżdżałem] służbowo [do] Ameryki.

28. Spotkania poświęcone myśli politycznej Jerzego Kuncewicza

Mieliśmy czasem spotkania poświęcone myśli politycznej Jerzego [Kuncewicza]. [On] we wszystkim, [co pisał] (także w swoich różnych wykładach), ustawicznie namawiał [do] współpracy z Ukraińcami, Białorusinami, Żydami i tak dalej. Więc zrobiłem spotkania z Białorusinami, Ukraińcami, Anglikami, Czechami, Słowakami, Żydami. Przyjechało kilku [ludzi] piszących z Izraela. Miałem łatwe kontakty ze środowiskiem żydowskim (ważnym, liczącym się i znaczącym) z racji mojej pracy na Majdanku.

W setną rocznicę [jego] urodzin zorganizowałem konferencję poświęconą [tej tematyce]. Ściągnąłem kilku historyków z historii najnowszej. Między innymi profesora [Zygmunta] Mańkowskiego, doktora [Czesława] Rajca, Jarka Mitruka, profesora [Józefa] Szaflika, Krystynę Kerstenową (żonę profesora [Adama] Kerstena; już też nieżyjącą), Stefana Bratkowskiego. [Ponadto] wydałem książkę z tej konferencji.

Wtedy się [pojawił] pomysł na cykl „Polska i wschodni sąsiedzi. Dzień dzisiejszy i przyszłość” Zrobiłem teoretyczną dyskusję poświęconą potrzebie współpracy Polska –Wschód. [Wówczas] w nowej rzeczywistości [reagowano na ten] temat: „To co, chcecie z komunistami współpracować? Z Rosją sowiecką?” A [nam] chodziło o ideę fikcji Jerzego Kuncewicza pokazaną w jego książkach. Ale [stanowiło to] też współczesną myśl Witolda. Uważał, że, owszem, trzeba współpracować z Zachodem, ale [należy też] pamiętać, że nasza historia, nasza przeszłość w dużym stopniu się łączy z krajami Wschodu –z Ukrainą, Białorusią. Więc jak chcemy, to podyskutujmy. Zaprosiłem studentów z Ukrainy i Białorusi [oraz z] Polski. To młode pokolenie dyskutowało [o tym], jak powinniśmy współpracować. Nagrałem to w całości na video.

To były bardzo interesujące spotkania. Miałem taką panią profesor Teresę Zaniewską. Wyjątkowa osoba upowszechniająca wiedzę o różnych narodowościach. Teresa miała wykład merytoryczny. I [pojawiała się] jakaś oprawa artystyczna. Artyści

śpiewali muzykę angielską, piosenki żydowskie... Z Białegostoku przyjeżdżali Polacy białoruskiego pochodzenia. Grali swoją muzykę. To było ważne i interesujące. Staraliśmy się też przygotowywać potrawy [charakterystyczne dla] tych narodowości. Teresa Zaniewska o tym zdecydowała. Była główną [autorką] tej myśli. Ktoś z jej otoczenia [coś] kupił, upiekł jakieś ciasto. I były takie elementy poczęstunku.

Wspólnie z komisją kultury senatu, z Janem Sękiem (obecnie dyrektor Filharmonii Lubelskiej, ale wtedy członek parlamentu w senacie) zrobiliśmy [również] konferencję (to już była trzecia) poświęconą doświadczeniom samorządowym na Litwie i w komunikacji z Polską. Chodziło o to, żeby zarówno u nas, jak i [tam] wspierać wszystkie przeobrażenia demokratyczne [oraz żeby] pokazywać rolę Polaków mieszkających na Litwie w [przemianach] samorządowych. Bardzo ciekawa konferencja. Senat mi to sfinansował.

Nieraz zdarzały się [żarliwe dyskusje]. Ale cała problematyka związana z tymi spotkaniami nie [stwarzała] potrzeby walki z kimś. Nawet jeśli ktoś się nie zgadzał z myślą polityczną Jerzego Kuncewicza, który krytykował ten wstrętny kapitalizm, a namawiał do współpracy z Ukrainą, z Białorusią, z Rosją (oczywiście w [jego poglądach] nie było niczego, co związane z komuną –żebyśmy mieli jasność), to ta współpraca była prezentowana w innym kontekście. Więc nie [organizowano] żadnych dyskusji, spotkań, które w jakiś sposób mąciłyby atmosferę spokoju [Kuncewiczówki].

Później zrobiłem konferencję merytoryczną w setną rocznicę urodzin pani Marii. [Była] poświęcona [jej] życiu i twórczości. Nie pamiętam już, jak ją zatytułowaliśmy. [Również z tego wydarzenia] wydałem książkę, z moim dużym wstępem na ten temat. Mocno mnie [w tym] wspierał profesor Lech Ludorowski –zasłużony w Lublinie historyk literatury. Wtedy przyjechało sporo członków rodziny Witolda. Jan Józef [Szczepański], Ewa Mańkowska. Robiliśmy też sporo takich działań merytorycznych.

29. Wszystkie spotkania w Kuncewiczówce kończyły się lampką wina i wspólną biesiadą

Wszystkie spotkania w Kuncewiczówce kończyły się lampką wina i wspólną biesiadą. Wszystkie. Taka była zasada przyjęta od samego początku. Chodziło o to, żeby to był salon, dom, w którym ludzie się czują dobrze i do którego [zechcą] wrócić. Żeby to [funkcjonowało] tak jak za życia pani Marii. Zawsze jak [ktoś] tam przyjechał, to napił się koniaku, winka. Bo pani Maria zawsze tak przyjmowała gości. Wprowadziliśmy [więc] tę zasadę. Witold [Kuncewicz] to akceptował, zarząd [również]. Tak że mogliśmy kupić parę butelek wina czy jakiś koniaczek [oraz] coś do poczęstunku. Musieliśmy mieć też na to pieniądze.

Jak [na spotkanie] przyjechali [czy Tadeusz] Różewicz, czy [Sławomir] Mrozek, czy inni ważni [ludzie], to nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby im kazać zjeść na dole. Zawsze przyjeżdżał ktoś z zarządu albo z bliżej współpracujących lubelskich wolontariuszy i przygotowywał obiad, kolację [albo] śniadanie. Dbaliśmy o to. Być

może też ta atmosfera w [Kuncewiczówce] spowodowała, że przez dwanaście lat nikt nie odwołał spotkania. I [nawet] przy najgorszej pogodzie przychodzili ludzie, zawsze.

30. Andrzejkowe spotkanie w Kuncewiczówce

Raz mieliśmy taką przygodę. Bo w innym cyklu [robiliśmy spotkania o] polskich zwyczajach. Zorganizowaliśmy spotkanie andrzejkowe. Zaprosiliśmy z Lublina dziewczynę, która robiła wróżby. Już nie pamiętam, jak się nazywała. Ja byłem tam chyba z żoną albo z córką i z wnuczką.

Wieczór. Tłumy ludzi. Kupa śmiechu. W pewnym momencie zeszła nagle po schodach moja wnuczka, wrzeszcząc (bo to nie był cichy głos), że się pali. Poleciliśmy do kuchni. Okazało się, że postawiłem garnek z woskiem na gazie, który był nam potrzebny. I wosk się zapalił. W porę [się zjawiliśmy]. Jeszcze nic się nie [zajęło]. Ale człowiek [w takich chwilach] nie myśli [trzeźwo]. Wziąłem [ten] garnek [gołymi] rękami, zamiast [najpierw na nie] coś założyć. Poparzyłem sobie palce i [go] upuściłem. Natychmiast się zajęła podłoga. Ale przytomność umysłu dyrektora spowodowała, że z wnuczką ugasiliśmy ten [ogień]. Gdyby nie poszła na górę, to pewnie kuchnia by się zapaliła. To było przerażające.

31. Tadeusz Roguski był ważną postacią w życiu Marii Kuncewiczowej

Pan Tadeusz Roguski [był] ważną postacią w życiu Marii Kuncewiczowej. To chłopak, o którym pani Maria pisywała w swoich książkach, którego przyjęła, gdy mieszkali w Warszawie w kamienicy na placu Trzech Krzyży. Dokarmiała go ze swoją matką Różą z Dziubińskich Szczepańską (jak wiemy, pierwowzór cudzoziemki). Tadeusz przychodził na te posiłki. Chudy, mały chłopak. Witold grał [wtedy] w salonie na fortepianie. Bo tam w Warszawie był fortepian. Grywał pewnie nie najlepiej. Czasem Tadeusz się wzdrygał. Jak i pani Maria. Któregoś dnia zapytał [jej], czy mógłby zagrać na tym fortepianie. I zagrał. Pani Maria się zorientowała, że ma wyjątkowo zdolnego chłopaka. Wspierała go. Wysłała do szkół.

Później [wybuchła] wojna. To wszystko się rozeszło. W [tym] czasie Tadeusz zarabiał, grając zakazane piosenki. Jego, że tak powiem, życiorys w dużym stopniu został odtworzony w filmie „Zakazane piosenki” Po wojnie odszukał Kuncewiczów. Pani Maria wróciła [do Kuncewiczówki] w 1958 czy 1962 roku. Chyba już wtedy razem się zetknęli. Pani Maria opisała to w „Kluczach” Później, już jak wróciła na stałe, Tadeusz zamieszkał w Kuncewiczówce i cały czas się opiekował [panią Marią], a [potem] panem Jerzym.

Kontaktowałem się z nim do [jego] śmierci. Na przykład [kiedy] trzeba było czasem wziąć pieniądze z konta dolarowego pani Marii. [Rozmawiałem o tym z] Witoldem –po co miałem po [nie] jeździć, [skoro był] Tadeusz, wychowanek pani Marii. Więc Tadeusz [się czuł] dowartościowany także w czasach funkcjonowania fundacji Kuncewiczów. Po śmierci pani Marii bardzo mnie wspierał.

Rozchorował się. Bywał często w szpitalu. Odwiedzaliśmy go. Moja żona mu

gotowała. Był nam bliską osobą. Pewnie przeszło trochę na mnie [skierowane o niego] ciepło pani Marii. Przywiozłem Tadeusza ze szpitala z Puław na weekend, żeby [tam] nie siedział. [Organizowaliśmy wtedy koncert] Zofii Kucówny. [Zjawilo się] dużo ludzi. Z Kucówną przyjechali jacyś przyjaciele. [Była] też Anula Mańkowska, bratanica pana Jerzego, a siostra Jana Józefa Szczepańskiego. [W sobotę] zrobiłem elegancką kolację. Kucówna też coś sama przygotowała, [ponieważ] bardzo lubiła grzebać w kuchni. Zjedliśmy, wypiliśmy trochę wina. [Tadeusz] był z nami. Ale w niedzielę już nie [wziął udziału w] koncercie. Zaproponowałem mu, żeby już nie szedł do swojego pokoju, [tylko żeby] się położył na łóżku w kuchni. [Stwierdziłem, że] będzie mi bliżej mieć go na oku.

Po koncercie Kucówny ktoś poprosił o herbatę. Poszedłem na górę. Nagle [zobaczyłem] sztywnego, że tak powiem, Tadeusza. Niestety, zmarł może parę minut przed [moim przyjściem]. Musieliśmy przerwać biesiadowanie i się zająć [jego] pochówkiem. Zorganizowałem pogrzeb w Warszawie.

32. Robiliśmy bale opisane w „Dwóch księżycach” Marii Kuncewiczowej

W Kuncewiczówce chcieliśmy [wprowadzić] atmosferę, którą pani Maria opisała w „Dwóch księżycach” Jest to powieść psychologiczna opisująca w pewnym stopniu obyczaje, zwyczaje miejscowych i przyjezdnych. Dla jednych księżyc świecił inaczej, dla drugich inaczej –stąd „Dwa księżyce” Kuncewiczowa opisywała bal, jakieś spotkanie towarzyskie, w którym uczestniczyła. [Przedstawiała] ciuchy swoich koleżanek [biorących w tym udział].

Robiliśmy bale opisane [w tej] książce. Ludzie mogli [na nie przyjść] pod warunkiem, że [ubiorą się] w stroje opisane w „Dwóch księżycach” Niby nic, ale dawało to rozrywkę i miało jakąś wartość merytoryczną. Głównie przyjeżdżali artyści plastycy, trochę dziennikarzy i różnych aktorów. Wymyślaliśmy takie rzeczy po to (robiłem to świadomie), żeby [ci] artyści w szerszym tego słowa znaczeniu, muzealnicy, którzy też tam sporo przyjeżdżali, byli partnerami do realizacji koncepcji, jaką sobie postawiłem, prowadząc ten dom.

33. Co by było, gdyby fundacja nadal istniała

Myślę, że oczywiście [to] mogło trwać. I pewnie chętnie bym się tym zajął [po przejściu] na emeryturę. Bo fundację rozwiązaliśmy w 2005 roku (wiosną dom [został] sprzedany), a ja [odszedłem] na emeryturę dwa lata po tym. Mimo że jeszcze nie musiałem iść. Minister mnie namawiał, żebym został. Ale już nie chciałem dłużej siedzieć na Majdanku, z różnych powodów. Trzeba było ogłosić konkurs. Dogadałem się z ministrem, że zgłoszę następców. Zgodził się. [Wskazałem] dwóch kandydatów. Wybrał jednego. I dobrze wybrał.

Więc pewnie chętnie bym się tym domem zajął. Zapewne byłoby już trochę gorzej [z pewnymi sprawami]. Bo wtedy z całą pewnością [musiałbym] zatrudnić kogoś na [etat]. [Pojawiłoby się] trochę inne dokumentowanie, chociażby wpływów. Trzeba

byłoby założyć kasę fiskalną. [Należałoby wydawać] paragony. [Kiedyś] się wypisywało pokwitowanie wpłaty na specjalnych kwitach, a księgowość prowadzono społecznie. Teraz [musiabym fundację] bardziej zabezpieczyć technicznie, organizacyjnie. Pewnie niekoniecznie dałoby się [ją] prowadzić tak szeroko społecznie. Ale być może...

Chociaż teraz funkcjonuje muzeum. Myślę, że to jest jedyne [dobre] rozwiązanie. Bo [istnieje] pełna gwarancja, że dom został uratowany. Idea fundacji może być realizowana w innym wymiarze. Czasem ludzie krytykują, że jest nudniej. Ale muszą sobie zdać sprawę, że wtedy był to dom prywatny [należący do] Witolda. Nie [miał] takiego statutu jak muzea. Nie [podlegał] bardziej dyscyplinującym regulacjom prawnym, które [trzeba] teraz stosować. Bo muzeum to muzeum, a nie prywatna fundacja Witolda. [Niektórzy] się dziwią, że bronię [tej instytucji], a nie tamtych czasów. Ja [je] bronię [oraz] wspominam dobrze i życzliwie. Natomiast bronię [również] tego, co jest teraz. Bo nie musi być inaczej. Jest idealnie tak, jak jest.

34. Dokumentację fundacji Kuncewiczów robiłem z wolontariuszami

[Istniała] pełna dokumentacja [fundacji]. Robiłem to z wolontariuszami. Przyjęliśmy taką zasadę, że każdy wolontariusz prowadził dokumentację swojego dyżuru. Oddzielnie dokumentację finansową, oddzielnie merytoryczną. Dokumentację merytoryczną prowadziłem głównie ja sam przy pomocy kolegów z muzeum, którzy mnie wspierali. Drukowali mnóstwo rzeczy. [Pomagał] mi Michał Korzel –lubelski poeta, niestety nieżyjący. Dokumentację fotograficzną robili Jerzy Zieliński i Stefan Kurzawiński z Kazimierza [Dolnego]. Sprawozdanie z dokumentacji finansowych, jak mówiłem, musiał przygotować prowadzący dyżur. Bo trzeba było się rozliczyć z tych środków. Natomiast już sam bilans, sprawozdawczość robiła społecznie pani w muzeum na Majdanku.

[Wolontariuszami] byli też młodzi [ludzie], których rekomendowali na przykład [Bogusław] Wróblewski z „Akcentu”czy prezes Związku Literatów Polskich (wtedy był [nim] chyba profesor [Stanisław] Popek albo Jan Okoń). [Oni] też mieli dyżury i te same obowiązki jak każdy inny. Natomiast –tak dla przykładu –jeśli ktoś miał wystawę, [to] rolę gospodarza pełnił autor, twórca tej wystawy. I on oprowadzał [gości po Kuncewiczówce]. Czasem przyjeżdżali całymi rodzinami –z mężem, z żoną, z dziećmi. Dyżurnych miałem z Łodzi, z Wrocławia, z Zielonej Góry. Andrzej Buck jest fanem lubelskich Konfrontacji Teatralnych i przyjeżdża tu każdego roku. Tak że [nawiązałem] wiele przyjaźni (które [trwają] do tej pory) z ludźmi zaangażowanymi w działalność fundacji.

Data i miejsce nagrania	2013-01-24
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Maria Buczkowska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"